Nr. 22. We Lwowie dnia 28. maja 1894. Rok II.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Stańczykowstwo teraz i przed stu laty.

Kiedy po kilkunastomiesięcznej nierównej walce w 1863 i 1864 roku naród polski został ostatecznie pokonany przez ogromną przewyżkę sił wroga, liczącego wogóle około 200 miljonów poddanych przeciw 20 miljonom Polaków, na skrwawione ciało Polskiej Rzeczypospolitej, walczącej od 100 lat po raz pierwszy jednomyślnie w trzech zaborach, rzuciło się natychmiast stado szakali, chciwych łatwej zdobyczy. Tak zwykle bywa na świecie, bo wielcy drapieżnicy zostawiają zawsze odpadki, którymi się żywią podrzędne, mniej odważne, acz niemniej żarłoczne stworzenia. Do takich należała w zaborze rosyjskim cała falanga Czerkaskich, Kaufmanów, Krestowskich, Makowów — ale dla naszych własnych rodaków tego samego autoramentu tam już miejsca nie było, nie tak jak po 1831 roku dla Krasińskich, Abramowiczów, Rzewuskich i tym podobnych, jak po ostatnim rozbiorze dla legjonu Targowiczan, których nazwisk powtarzać nie chcemy. Moskwa przyszła do przekonania, że łatwo się jej obyć bez pomocników tego rodzaju, że własnych krzywosławnych zębów aż nadto do takiej roboty. Zresztą głośne przykłady walenrodyzmu, z których najsławniejsze łączą się z nazwiskami Sierakowskiego i Haukego-Bosaka, pokazały Moskalom, że polskiego wilka, choć pozornie ułaskawionego, zawsze ciągnie do lasu, i że bardzo niebezpiecznie polegać na lojalności takich niepoprawnych żywiołów. Ale zdobycz była nietylko nad Wisłą, nad Niemnem i nad Dnieprem, i szkoda ją było zostawić wyłącznie moskiewskim i niemieckim pasożytom. Niemiecka wojna domowa, będąca głównie skutkiem naszego powstania i osłabienia Rosji, a której wynikiem było znowu zupełne upokorzenie Austrji i rozbicie kongresowych Wielkich Niemiec, otworzyła stosowne pole dla apetytu tych, którzy radzi korzystają z każdego nieszczęścia Ojczyzny dla własnego, bodaj tylko chwilowego, pożytku. Wtedy odezwał się pod samym Wawelem głośny wtór pieśni Katkowa i Czerkaskiego i przy dźwiękach tego potwornego hymnu zwycięskiemu rozbojowi, pod śmiało zatkniętym i bardzo stosownym sztandarem błazna królewskiego, wystąpili po raz pierwszy stańczycy.

Ludzie byli zupełnie nowi, nie tamtego obozu: wyłącznie renegaci organizacji narodowej i polskiego wojska, prowadzeni przez byłą ozdobę demokratycznego stronnictwa, ks. Kalinkę, przez autora czysto demokratycznej i anti-katolickiej historji, Józefa Szujskiego. Podniosły się czoła, z których starto wstyd wszelki dla dobra pokrwawionej Ojczyzny, wyciągnęły się do pracy organicznej — i do rządowych pieniędzy — dłonie, które tylko co trzymały powstańczą szablę, przysięgły wierność zaborcom usta, które tylko co złożyły ostatni pocałunek na trupie poległego z ręki zaborców rodzonego brata. Efekt był wspaniały — i skutek zdumiewający.

Wszystko, co się dotąd wstydziło przyznać do samolubstwa i do tchórzowstwa, wystąpiło śmiało dla dobra kraju — i własnej kieszeni przeciw szalonym zapędom, przeciw nierównej walce, przeciw wierności dawnym ideałom i dawnym prawom; osłabiony rząd przyjął z otwartemi rękoma tych nowych sprzymierzeńców, posypały się na nich posady i dostojeństwa, i homeryczny śmiech pogardy, wychodzący nie tylko ze wszystkich nasyconych gardzieli, ale i z ust zmęczonych, zwątpiałych lub nierozsądnych, napiętnował tych nielicznych i niepoprawnych głupców, których ojcem jest Naród a matką — Nadzieja. Roztropni

i zręczni zwyciężyli na całej linji. Sumienie złożono na strych, razem ze szpargałami nieboszczyka Rządu Narodowego i pieczęciami ś. p. Organizacji i ci, którym to pozwolono, rzucili się z całym zapałem — na żer.

Przeszło od tego czasu lat dwadzieścia kilka i oprócz kilku zręczniejszych i twardszego czoła, nikt z tego żeru nie utył. Przeciwnie: szeregowcy głównych hetmanów: Popiela, Kalinki, Szujskiego, Tarnowskiego, Szczepańskiego ocknęli się z przyjemnych snów o przyszłym dobrobycie ze strasznym niesmakiem w ustach i z fatalnemi pustkami w kieszeni. Zdolniejsi i zręczniejsi zatrąbili wówczas o nędzy galicyjskiej — by im zatknięto usta kawałkiem pasztetu; a ci, dla których pasztetu nie starczyło, przekonali się po niewczasie, że pracowali pod błazeńską chorągwią jedynie, jak mówi Francuz, »pour le roi de Prusse«. Wyszło jeszcze raz na jaw, że konkurencja ze zwycięzcami na polu wyzyskiwania ludu jest niemożliwą nawet dla najlojalniejszych członków podbitego narodu, i że cała praca organiczna musi się skończyć najokropniejszem fiasko, jeźli się nie będzie prowadziła pod dawnym sztandarem, pod sztandarem Orła i Pogoni. Głupi synowie nadziei uratowali raz jeszcze sytuację, bo wszystko co się od trzydziestu lat zrobiło, choć z konieczności niedostateczne, jest wyłącznie ich dziełem, i Stańczyk trąbi dzisiaj, choć niechętnie, na nutę tak haniebnie dawniej przez niego wyśmianą: tromtadrata!

Boć zasadniczą myślą stańczykowstwa jest właśnie trąbienie na wszystkie możliwe nuty, byle na tem można było zyskać. Nazywa się to dźwięcznie w teraźniejszym wieku, z łaski nieboszczyka Gambetty, oportunizmem, i nie tylko naszemi ojczystemi sprawami, ale zwycięztwem tego kierunku na całym świecie w ostatnich czasach, można sobie najłatwiej wytłómaczyć powstanie u nas takiego arcy niemoralnego stronnictwa, pod wyłącznie renegackiem dowództwem. Bo stańczyków u nas nigdy nie brakło w całych naszych dziejach, osobliwie od lat dwustu, tyle tylko że teraz wystąpili oni zwartą falangą, z przyzwoitemi (na pozór) hasłami, kiedy ich praojcowie przyznawali się po prostu do świństwa — przepraszamy za wyrażenie. Dla tego chcemy przypomnieć łaskawemu czytelnikowi, jak wyglądał przed stu laty, akurat przed wiekiem, pierwowzór teraźniejszych mężów, którym Teka Stańczyka dała hasła i nazwisko.

(D. c. n.)

SONET.

Cudna spadła na ziemię, pełna krasy wiosna;
Światłem złotych promieni oblana gorącem —
Pełnią kwiecia jasnego — jakby ócz tysiącem
Spogląda roskosznica — wonna i radośna

I wciąż hafty najdroższe rzuca na swe krosna.
A od śpiewów ptaszęcych echem gnana drżącem
Pieśń słowicza i słodka, jak szept gwiazd z miesiącem.
Brzmi po całym wszechświecie, majowa, miłośna.

Od tych dźwięków w powietrzu i ech gdzieś wyśnionych.
Drga coś w sercu człowieczem — i do życia goni
Nowe siły i moce — z zwątpień przewalczonych.

Bo też kogo do życia wiosna nie obudzi.
Komu pieśnią miłości w duszy nie zadzwoni —
Ten już najnieszczęśliwszy z nieszczęśliwych ludzi.

Anda.

Żywot Adama Mickiewicza.

podług zebranych przez siebie materjałów oraz z własnych wspomnień opowiedział Władysław Mickiewicz. Tom III. — W Poznaniu — 1894.

Wykłady Mickiewicza o literaturze słowiańskiej w »Collège de France« i współudział jego w Towiańszczyźnie — stanowią przedmiot trzeciego tomu. Obejmuje on okres czasu od jesieni 1841 do końca stycznia 1848 r.

Powiedzmy z góry: z tego tomu jesteśmy mniej zadowoleni, aniżeli z dwóch poprzednich. P. Władysław Mickiewicz starannie zgromadził wszystko, co ukazuje nam jego ojca w jego życiu zewnętrznem, w jego stosunkach z emigracją i z Francuzami, ale za mało, nawet bardzo mało odsłonił nam pracę wewnętrzną jego ducha.

Rozumiemy żal syna, czytającego w pismach emigracyjnych ostre i namiętne, chociaż nieraz dosyć usprawiedliwione zarzuty, jakie czyniły jego ojcu, i temu żalowi przypisujemy tę niechęć i pogardę, z jakiemi się wyraża o komitetach emigracyjnych, ich pracy i ich walce wzajemnej. Czytając te wycieczki przeciwko politykowaniu emigracji, zdawałoby się, że autor wychodzi ze stanowiska stańczykowskiego i wolałby, ażeby emigracja nie wdawała się w żadne spiski, w żadne manifestacje, w nic takiego, coby zakłóciło spokój. Ale w takim razie pytanie: pocóż ta emigracja wyszła z kraju? Czyżby tylko po to, ażeby ocalić swoje życie, ażeby ujść od prześladowań moskiewskich?! Kiedy Bonawentura Niemojewski wkrótce po przybyciu do Francji wypowiedział podobne zdanie, ogromna większość emigracji oburzyła się na to. I słusznie. Uchodziła ona z kraju ojczystego dlatego, że nie chciała ukorzyć się przed carem, że trwała w swym szlachetnym buncie przeciwko upokarzającemu jarzmu, że uczyniła — mówiąc słowami Mickiewicza — ślub wędrówki do ziemi świętej, ojczyzny wolnej, i ślubowała wędrować póty, aż ją znajdzie. Wszelka emigracja polityczna — to ferment, który wciąż podtrzymuje niezadowolenie, burzenie się, który podnieca i popycha do zrzucenia sromotnego jarzma. Tak było już w odległej starożytności. I tak być powinno. »Dobry jest pokój umarłym i szęśliwym — pisał Mickiewicz do Aleksandra Chodźki — my koniecznie świat niepokoimy i niepokoić musimy«. Polityka emigracyjna nie wyrzeka się żadnej broni. »Uważamy — pisał Mickiewicz w »Pielgrzymie Polskim« — za dobrych polityków wszystkich, którzy nie czekali, ale czy to podkopując zasady rządów najezdniczych, czy rozszerzając zasady wolności, czy spiskami, czy zamachami na głowy despotów, walczyli«.

Ci, co w dobrej wierze mówią lub piszą o bezużyteczności organizacji politycznej pomiędzy wychodźcami, niech się zastanowią dobrze nad tem, że ludzie potrzebują życia czynnego, że muszą swą energję wyładowywać na coś przecież. Zamiast rozpraw komitetowych i walki o zasady, powstałyby w takim razie plotki, intrygi i kłótnie osobiste, oparte na jeszcze bardziej poziomych pobudkach, aniżeli te, jakie się pojawiają w waśniach politycznych. Mamy świadectwa, że zainteresowanie się organizacjami politycznemi stłumiły w samym zarodku gry w karty, pijaństwo i rozpustę płciową, którym wielu z młodzieży i ludzi starszych zaczęło było już się oddawać. Stanisław Falkowski, którego zdanie p. Władysław Mickiewicz przytacza, przedstawia, że nasza emigracja stargała swe siły na ścieraniu się politycznem, i nastąpiło wśród niej ogólne znużenie i niemoc. Przedstawienie to rzeczy jest tendencyjne i przesadne. Właśnie w tym czasie, o którym pisze Falkowski, »Towarzystwo demokratyczne« doszło do największej siły liczebnej (w końcu 1841 r. liczyło 1966 członków) i czynność swoją przeniosło na ziemię ojczystą.

Ale p. Władysław Mickiewicz — jak można sądzić z niektórych zdań jego — nie uznaje, ażeby czynność »Towarzystwa demokratycznego« była pożyteczna dla sprawy narodowej. Nie zaprzeczy jednak temu, że przyczyniło się ono ogromnie do przyśpieszenia rozwiązania kwestji włościańskiej. Czyż pękłyby tak rychło kajdany poddaństwa włościan w Galicji, gdyby nie poprzednia propaganda demokratyczna, gdyby nie rewolucja krakowska w 1846 r. i nie pamiętne wypadki 1848 r.? A kto w 1848 r. najgorliwiej napędzał do pośpiesznego załatwienia się z kwestją włościańską, jeżeli nie długoletni członek centralizacji demokratycznej, Wiktor Heltman? Pisma demokratyczne, na których się kształciły całe generacje rewolucyjne, poczynając od Edwarda Dembowskiego i kończąc na Konstantym Kalinowskim, natchnęły twórców zarówno Manifestu krakowskiego jak i Manifestu z r. 1863. Niewątpliwie, że demokracja nasza oddziałała i na Hercena, który wiele się przyczynił do postawienia na porządku dziennym kwestji włościańskiej w państwie rosyjskiem.

Wolelibyśmy, ażeby Adam Mickiewicz, chociażby dla przykładu tylko, był się zapisał albo do »Towarzystwa demokratycznego«, albo do »Zjednoczenia«, w którem miał więcej pokrewnych sobie duchów, lecz przyznajemy, że wolno mu było stanąć poza obrębem organizacji politycznych, albowiem działał on bezpośrednio dla dobra narodu, wlewając w jego serce gorące uczucia patrjotyczne i opromieniając jego sprawę z mównicy europejskiej. Lecz jaka byłaby korzyść dla narodu i ogromnej większości emigrantów, gdyby się oni nie łączyli w stowarzyszenia i komitety! Byliby oni temi bezpolitykowcami, którzy — jak powiada znakomity mowca — uciekają z pokładu, nie chcą nawet uważać nieba i gwiazd, radzą schować się na spód krzy-

cząc: jak wiatr pomyślny zawieje, wtenczas przyjdziemy na wierzch!

Pociąg do czynnego udziału w sprawach politycznych był zawsze silny u Mickiewicza. W Wilnie należał do filomatów: w pierwszych latach emigracji był redaktorem »Pielgrzyma Polskiego«, należał do »Towarzystwa ziem litewskich i ruskich« i nastawał mocno na zwołanie sejmu. Wyjazd do Lozanny odsunął go od życia politycznego w emigracji, i właśnie życie to znowu go ciągnęło do Paryża. Wreszcie sam udział Mickiewicza w Towiańszczyźnie nie byłże wypływem tej silnej potrzeby, jaką czuł w sobie znakomity nasz wieszcz do czynnej, politycznej pracy dla swego narodu? Zdawało mu się, że zdoła porwać całe pielgrzymstwo i poprowadzi je, jak drugi Mojżesz, do ziemi świętej, do Polski, rwącej się ku wolności. Kiedy nadbiegła wieść o rewolucji krakowskiej 22. lutego 1846 r., drgnęła w nim cała istota, i zapytywał Towiańskiego: czy nie nastąpiła już pora wystąpienia, tego wyjścia, exodu, który wciąż zapowiadano i do którego pielgrzymi wciąż się gotowali? I kiedy następnie Towiański wzywał uczniów, aby nie pragnęli ojczyzny »wedle idei ziemskiej«, t. j. ażeby zadowolnili się samą propagandą słowa Bożego, poeta nasz zbuntował się i odszczepił od mistrza swego.

Szkoda, że p. Władysław Mickiewicz nie dał treściwego i dokładnego przedstawienia, czem właściwie była nauka Towiańskiego, jakie były jej zasady i charakter; a — zdaje się — łatwiej mu to było uczynić, aniżeli komu innemu, nie tylko z powodu większej liczby posiadanych w tym przedmiocie dokumentów, ale i z tego ważnego powodu, że współczując ruchowi, chociaż nie podzielając wszystkich poglądów tej doktryny, łatwiej mógł wskazać jej dodatnie strony. Miała ona stronę religijno-mistyczną, wytwór samego Towiańskiego, i społeczną, która — jak się zdaje — głównie była dziełem Mickiewicza. To, co pisał »Trzeci Maj« (27. kwietnia 1844 r.) — zdaniem mojem — zawiera trafne spostrzeżenie. »P. Mickiewicz — pisał ten organ Czartoryskiego — liberalista wychowany w zasadach humanitarno-liberalnych związków, utworzonych na łonie germańskiej młodzieży, która poznawszy zasady republikanizmu francuskiego, umiała je przyodziać w nieznane mu dotąd szaty entuzjazmu, podnoszącego się z łatwością do najwyższego stopnia egzaltacji czysto umysłowej — P. Mickiewicz, pod wpływem tej naiwności, tej szczeroty serca, towarzyszki koniecznej każdego Polaka, — P. Mickiewicz, nauką wkrótce dojrzały, zachowując naturę tę Polaka i predyspozycją germańską, z łatwością uderzony został przekonaniem, że republikanizm ludowy, że odmiana społeczna, nie mogą nastąpić bez pomocy uczuć i zasad religijnych, które dotąd odpychały. Przekonanie to jest owocem prac autorów francuskich i zwrotu umysłowego Francji nauczonej świeżem doświadczeniem«. »Stanęły w umyśle Mickiewicza — ciągnie dalej ten artykuł — przykłady Mahometów, Zoroastów, Konfucjuszów, wojen religijnych, przychodzących w pomoc narodowościom; że przez miłość republikańskich pojęć i gwałtownie ludowych napraw przyjął na siebie niby misję odmian społecznych«. Właśnie ta natchniona przez naszego poetę dążność społeczna, aczkolwiek mocno w mgłę spowita, pociągnęła ku sobie i żarliwego krzewiciela przekonań ludowych, Goszczyńskiego, i szarpiącego w strzępy przeszłość szlachecką Słowackiego i Rettla, Michała Chodźkę i Nabielaka, Wrotnowskiego i innych.

Dok. n.

PRZĘDZA SPLĄTANA.

(Dokończenie).

— Do policji! — padł krótki rozkaz.

— Po ojcu... — zaczęłam.

Ani chciał słuchać.

— Do policji! — powtórzył.

— Byłby mnie pchnął; poszłam. Przed kościołem stała już spora gromadka kobiet, strażą otoczona. Przyłączono mnie do nich; poszłyśmy. Jak owce zbite na kupę, zagnano nas do brudnej, dusznej, wpółciemnej izby policyjnej. Straż u drzwi stanęła. Spojrzałyśmy po sobie i milczałyśmy; po polsku mówić nie pozwolono. Przeszły tak dwie godziny, trzy może. Nam czekającym, zziębłym, głodnym, zdało się, że słońce dziś nie zajdzie nigdy.

Nakoniec otwarły się drzwi szeroko. Brzęcząc, skrzypiąc, zamaszyście wpadło kilku ludzi. Naczelnik policji na czele. Pamiętam te rysy; dziśbym go poznała — po latach trzydziestu! Szeroka twarz, mięsista, czerwona; oczy krwią nabiegły; policzył nas jednem wejrzeniem. Drapiestwo, brutalność, złość — wszystko tam było, w tych oczach i w tej twarzy. Pomyślałam: bestja krwiożercza, rozdrażniona...

— Zanim przemówił, usta mu drgały chwilę. Ścisnął pięści i ryknął — gradem najobelżywszych słów. Ach, rosyjska tylko mowa — przy świście knuta, niewolą spodlona — jedna tylko na ziemi, ma takie dźwięki i takie słowa dla przekleństw i obelg! Wszystkie wtedy na głowę naszą runęły.

— Nam usta silniej się ścięły. Wtem patrzę, aż tu z pod okna podnosi się postać wysoka i szczupła. Kobieta jakaś stara, w koronkach, w aksamicie, wspaniała i delikatna. Litośna ręka

żołnierska podała jej była stołek; siedziała aż dotąd cicho, o mur wsparta, nikt jej nie zauważał. Teraz stanęła prosto, głową przerastająca wszystkich. Blada twarz, zmarszczkami zorana, oczy z głębi ogniem tryskały i wąskie usta drżąc zaciskały się; a tyle w tej twarzy było dumy, oburzenia i wzgardy, że aż dreszcz brał, spojrzawszy. Stała tak chwilę i głową siwą trzęsła.

— Zechciej pan oznajmić wyrok, jaki nas czeka, a od... próżnych słów proszę uwolnić — ozwała się głucho i głos jej złamał się w krtani.

— Jak źwierz smagnięty rzucił się ku niej naczelnik. A jednocześnie, z głośnym krzykiem jakieś drobne liljowe rączki opasały ramiona starej. Młode dziewczę z wylękłemi oczyma zasłaniało ją, tuląc.

— Naczelnik zastygł na mgnienie oka.

— Babciu, ty nie mów! — błagało dziewczę, i oczy, pełne łez i żalu, podniosło na źwierza.

— Ach, panie! Nie wiedziałyśmy nic... Ze wsi jesteśmy... Puść nas do domu! Ojciec będzie się trwożyć...

— Patrzałam na niego. Nie, zwierz zmiękłby na to wejrzenie anielsko błagalne. Zwierz — lecz nie ten... sługa dzieciobójcy.

— Widziałam, jak krew falą do twarzy mu buchła.

— Zatrząsł się cały.

— Rózeg! — krzyknął głosem, od którego szyby w oknach zadrżały. — Chcesz rózeg? Mówić tu śmie jeszcze! Jej ojciec! Ja was nauczę, »miatieżniki!«... Hej ty, tam! Słyszysz? — krzyczał, zwracając się do żołnierzy. — Na rózgi ją wziąść! — Palcem na dziewczę wskazał. — Dwadzieścia pięć! w tej chwili! Marsz!

— Skoczyło kilku żołdaków; zrobił się gwar — zakryłam oczy rękami...

— Słyszałam szamotanie się, szmer głuchy, gdzieniegdzie okrzyk, śpiesznie tłumiony. A na tem tle pieszczony głos zadźwięczał wyraźnie:

— Babciu! Moja ty! Nie płacz... cóż robić? cóż robić?... — I pocałunki, i błogosławieństwo, a potem jęk krótki, urwany, jakby nożem kto w serce ugodził.

Stąpania ku drzwiom oddaliły się. I nagle rozległ się łoskot, jakby kto brzemię drzewa o ziemię cisnął.

— Ręce mi opadły.

— Spojrzę — na środku izby, wśród błota od stóp sołdackich, leży ta pani stara. Jak biegła za odchodzącymi, tak padła; twarzą na ziemię, z rękami wyciągniętemi naprzód... I tak zastygła.

Aksamit mantyli jak całunem ją pokrył — a głowa odsłonięta, siwa — w tem błocie żołdackiej izby.. I ręce zżółkłe, ku drzwiom tym sterczące były jak drogowskazy... przed ludźmi... przed Bogiem...

— I po raz drugi tego dnia myślałam: czy Bóg nas widzi?...

— Ach, nitka ci pękła! Ot, splątałeś mi przędzę. Cóżto? łezki ci płyną... Dziecino ty moja! A widzisz, chciałeś powieści... No, biegnij już sobie! W oczach mi ciemno — i przędza splątana...

W. Dal.

Kilka słów o spirytyzmie.

II.

Trzy są drogi, wiodące rozum do poznania prawdy: rozumowanie, obserwacja i doświadczenie. Podług Richeta, rozumowanie w jakiejkolwiekbądź formie, ani rachunek prawdopodobieństwa na nic się nie przydadzą w rzeczach, odnoszących się do telepatji, jasnowidzenia i przeczucia; co się tyczy doświadczenia, to nie daje się ono do nich zastosować, chociaż ono tylko mogłoby dostarczyć ostatecznych dowodów ich prawdziwości. Pozostaje więc tylko sama obserwacja, na której musimy się oprzeć. Lecz obserwacja, jak on sam powiada, mając charakter przygodny, nie wystarcza dla dowiedzenia rzeczy. Pozostawia ona zawsze pewne wątpliwości, których usunąć nie zdoła. Tego rodzaju wyznanie, w ścisłem znaczeniu pojęte, nic innego nie powiada, jak to: o wszystkich tych zagadkowych faktach, o których nam mówi wiedza nieoficjalna, ze stanowiska naukowego nic pewnego twierdzić nie możemy.

Przed tym atoli wnioskiem, jedynym, jaki z własnych jego słów daje się logicznie wyprowadzić, cofa się on odważnie, biorąc asumpt do tego stąd, że przecież i fizyka w pierwszych chwilach musiała zadowalać się samą tylko obserwacją, gdy przystępowała do badań nad elektrycznością. Ale takie zestawianie z sobą obserwacji metodycznej z prostem postrzeganiem ludzi, którzy z nauką nigdy nie mieli do czynienia i znajdowali się w warunkach najmniej przyjaznych — może służyć tylko za dowód, jak dalece uczony, nawet najbardziej ścisły w swych badaniach, zatraca pod wpływem uprzedzenia właściwy sobie takt — i daje się uwieść złudzeniom. Richet w swych wnioskach opiera się nie na własnych obserwacjach, ale na obserwacjach innych — na wiadomościach, dostarczonych pisemnie przez tych, którzy kiedykolwiek doznali halucynacji, jasnowidzenia i przeczucia. Jak wiadomo jednym z najgłówniejszych warunków obserwacji jest spokój, trzeźwość umysłowa, inaczej bowiem uwaga nie ma potrzebnej swobody swych postrzeżeń. Otóż, zapytuję, czy czło-

wiek, który naraz doznaje niezwykłego w swem życiu stanu, może zachować zupełny spokój duszy? czy stać go na to, ażeby z całą świadomością zwracał uwagę na wszystkie okoliczności temu stanowi towarzyszące? Co więcej, przy najgorętszej chęci z jego strony opowiedzenia dokładnie tego, co mu się zdarzyło, nie może on być pewnym, czy do faktu rzeczywistego nie dodał czegoś, co jest wzięte z domysłu, z fantazji. Zresztą tego rodzaju materjały należą właściwie nie do obserwacji, ale do samo-obserwacji. Jaka zaś jest wartość samo-obserwacji, mogą o tem bardzo wiele powiedzieć lekarze, którzy opowiadania chorych o swych cierpieniach muszą bardzo często prostować i nigdy na nich bezwzględnie opierać się nie mogą.

Pomijając to wszystko, należy jeszcze i o tem nie zapominać, że Richet, przyjmując zagadkowe fakty, jako prawdziwe, wniosek swój pod tym względem oparł na wypadkach dodatnich, tj. takich, które za prawdziwością tych faktów przemawiają; pominął zaś wszystko im przeciwne. Ależ w ten sposób można wszystkiego dowieść — nawet tego, że komety bywają zwiastunami klęsk powszechnych!

Na takich to wątłych podstawach opiera się twierdzenie Richeta, że halucynacje sprawdzające się, jasnowidzenia i przeczucia są faktami rzeczywistymi. Że to twierdzenie nie opiera się na żadnych dowodach i nie ma zgoła żadnej wartości naukowej, że wyraża ono po prostu osobiste przekonanie autora, a raczej wiarę, której przyczyny należałoby szukać we właściwym ustroju jego mózgu — zgodzić się na to musi każdy, kto się pilnie zastanowi nad powyższemi uwagami.

Łatwowierność francuskiego fizjologa tem bardziej okaże się zdumiewającą, gdy rozważymy, że w przyjęciu owych faktów za rzeczywiste nie o małą rzecz chodzi, ale o jedną z najgłówniejszych podstaw dzisiejszej wiedzy. Nauka utrzymuje, że tak poznanie zewnętrznego świata, jako też stanów duchowych innych ludzi — ich myśli, uczuć i chęci — dokonywa się pośrednio, za pomocą zmysłowego postrzegania. Mistycyzm tymczasem twierdzi, że w pewnych warunkach poznanie tego rodzaju może się nabywać bezpośrednio, przez przenoszenie się myśli, dla której nie istnieją granice czasu i przestrzeni. To znaczy, że myśl ludzka może na chwilę wyzwolić się z więzów zmysłowych i wtedy staje się świadomą wypadków, które zdarzają się poza granicami zmysłowego postrzegania, chociażby na drugiej półkuli ziemi, lub które dopiero mają się zdarzyć w mniej lub więcej odległej przyszłości. W taki to sposób mianowicie wyznawcy tak zwanej telepatji, stanowiącej jeden z artykułów wiary zwykłego spirytyzmu, tłómaczą halucynacje sprawdzające się, jasnowidzenia i przeczucia. Każdy przyznać musi, że chodzi tu o tak ważne zagadnienie, że do jego rozstrzygnięcia trzeba przystępować z jaknajwiększą ostrożnością. Richet tymczasem uznał, że wszelkie pod tym względem ostrożności są zbyteczne. Jeżeli więc w tym wypadku okazał się on łatwowiernym aż do lekkomyślności, czy można się po nim czego innego spodziewać w sprawie Eusapji, której cuda uznaje za prawdziwe?!

W oczekiwaniu na bliższe wyjaśnienie całej tej sprawy, nie zawadzi zwrócić uwagi, że przeciwko cudom Eusapji świadczy najwymowniej proste zestawienie następujących faktów. Wszyscy dotychczasowi poprzednicy Eusapji w jej zawodzie okazali się oszustami, korzystającymi z łatwowierności ludzkiej. Wielkiem jest tedy prawdopodobieństwem, że do tego rodzaju szarlatanów należy także i Eusapja. Prawdopodobieństwo to staje się tem większem, a powiedziałbym nawet pewnością, gdy się zważy, że wykonywane przez nią cudowności weszły już w zwykły repertuar wszystkich przedstawień prestidigitatorskich. Najświeższym tego dowodem są występy Rybki i Baranowskiego, którzy po wyjeździe z Warszawy Eusapji powtórzyli jej produkcje z większą nawet niż ona zręcznością. Jeżeli więc wszystko to, z czem się popisywała Eusapja, daje się jak najdokładniej wykonywać za pomocą samej tylko zręczności; to zdrowy rozsądek zabrania nam upatrywać w tym objawie jakiejś siły nieznanej, a choćby znanej, ale działającej w nieznanych nam warunkach.

Taki jest stan zagadnienia, dotyczącego wiarogodności faktów, w których obronie wraz z wielu innymi uczonymi staje Karol Richet. Można o nich to jedno powiedzieć: są między nimi takie, których wprawdzie dowieść nie można, ale nie można też ich odrzucić bezwzględnie. Co się tyczy ruchu przedmiotów materjalnych samych przez się, przedmiotowego ukazywania się duchów, dających się nawet fotografować, to trzeba tego rodzaju zjawiska zaliczyć do sztuczek zręcznego szarlatanizmu, wyzyskującego w imię spirytyzmu słabostkę ludzką do wszystkiego, co jest nadzwyczajnem i tajemniczem. Jakoż w ten sposób zapatrują się na nie po większej części sami spirytyści.

Richet jest przedstawicielem spirytyzmu, który nazwałbym naukowym. Spirytyzm tego rodzaju nie zrywa z wiedzą oficjalną, pragnie ją tylko uzupełnić. Jakoż wierzenia swe stara się oprzeć na podstawach naukowych i przyjmuje je o tyle o ile mu się zdaje, że wytrzymują w zupełności krytykę rozumu, wspartego jeżeli nie doświadczeniem, to przynajmniej obserwacją.

Co się tyczy spirytyzmu pospolitego, to pomimo ważnych różnic, jakie zachodzą między licznemi jego sektami pod względem szczególnych zapatrywań, istotnym jego charakterem jest opozycja przeciwko wiedzy i ślepa wiara w pojmowaniu pewnych poglądów i wierzeń, z których

dedukcyjnie wyprowadzają się najdalej sięgające wnioski, na jakie tylko zezwala fantazja, niepowściągana w swym polocie ani przez doświadczenie życiowe, ani przez rozum.

Ważniejszemi sektami są: okultyści, wyznawcy tajemniczej mądrości, która nie jest czem innem, jak panteizmem: buddyści, znajdujący w nauce indyjskiego reformatora główne źródło ludzkiej mądrości i nareszcie medjumiści wszelkiego rodzaju, dzielący się na liczne i niezgodne z sobą grupy.

Władysław Kozłowski.

NA DOŻYWOCIU.

SZKIC

Gabrjeli Preissowej.

Było to z rana w wigilję Bożego Narodzenia, w dzień najbardziej z całego roku oczekiwany. Wyminkarz*) Kluczka dopiero co wstał — w kożuchu, onuczach i krypciach — ze zniszczonego, o staroświeckich kształtach łóżka. Dziwnie to wyglądało, że tak się przystrajał na noc, ale stary nie mógłby inaczej zasnąć w zimnej izdebce. Osłabione wiekiem, bladoszare źrenice dziadka skierowały się z przywyczajenia w pierwszej zaraz chwili ku miejscu ponad drzwiami, gdzie się znajdował zwykle ścienny zegar — zapomniał biedaczysko, że od wczoraj już go tam nie było, że zabrano go do izby gospodarskiej. Kwadrat niezakurzonego muru, bielejący ponad drzwiami, a na nim czarny otwór od haka, na którym wisiał, pozostały dziadkowi jako jedyna pamiątka po ulubionym sprzęcie.

— Aaah! — westchnął wyminkarz i usiadłszy na posłaniu począł — silnie chwiejąc osłabioną głowę — szeptać poranne pacierze. Po modlitwie zakrzątnął się około posłania łóżka: zdjął obie liche poduszyny i złożywszy je wraz z pierzyną na ławce pod piecem, wyrównał siennik i przykrył go starannie szeroką płachtą. Zasuwając wyblakłym haftem ozdobiony jej brzeg, myślał, że gdyby gospodyni zamieniła mu kiedy w praniu tę piękną, chociaż już starą płachtę na inną, wówczas nie zostałoby mu już nic zgoła z dawnych rzeczy na pociechę. Gdy poduszki i pierzyna wróciły ponownie na łóżko, stary ułożył je i wyrównał z iście kobiecą zręcznością i wziąwszy z półki gliniany dzbanek, skierował się ku wyjściu. Przez uchylone drzwi wysunął jednak najpierw nieśmiałym ruchem tylko głowę, a dopiero przekonawszy się, że sień była pusta, pośpieszył odważnie ku studni, aby się umyć.

Na dworze szalał wicher, zmiatając z dachów gęsto padający śnieg i kręcąc białymi płatkami w powietrzu. W taką słotę nie rad człowiek opuszcza ciepłą chatę, to też i wyminkarz nie zetknąwszy się z nikim, wrócił szczęśliwie do izdebki, otarł twarz grubą szmatą konopną, zmiótł tą samą szmatą kurz ze stołu i ławki, poczem oskrobawszy z lodu kawałek zamarzłej szybki w oknie, tarł go tak długo, aż nakoniec udało mu się wyjrzeć do ogrodu przeźroczystem kółeczkiem. W ogrodzie nie ujrzał nic zgoła pocieszającego; zamieć śniegowa nie dozwalała mu widzieć nieba tam wysoko, a tu w izdebce zimno i tęsknota dręczyły osamotnionego starca.

Wtem dał się słyszeć lekki szmer za drzwiami, a cienki głosik zawołał:

— Otwórzcie, dziadku!

Po zasępionem obliczu starca przemknął nagle promień radości, gdy biegnąc jak tylko mógł najśpieszniej ku drzwiom, uchylił je ukochanej wnuczce ze słowami:

— Witaj, Dorotko, niech cię Bóg ma w swej świętej opiece, kurczątko moje!

— Mamusia przysyła wam tu oto kminkowej polewki — mówiła jedenastoletnia mniej więcej dziewczynka, o miłej i rozumnej twarzyczce, stawiając na ławce dzbanek, który dotąd trzymała prawą rączką za ucho. — Mama nalała wam więcej polewki — ciągnęła dalej — abyście nie byli głodni aż do wieczerzy. Wszyscy muszą dziś pościć — dodała jakby usprawiedliwiającym się głosem — natomiast wieczorem przyniosę Wam wszystkiego, co tylko sami jeść będziemy.

Wyminkarz sięgnął ku półce po łyżkę i siadając z uśmiechem na ławkę, prosił wnuczki dziecinnym niemal tonem:

— Zjedz trochę ze mną Dorciu, a będzie mi ta polewka dwa razy lepiej smakowała.

— Dziękuję, jadłam już — odparła dziewczynka, a po chwili oglądając się poza siebie, dodała zniżonym głosem:

— A nie chcielibyście jabłek, dziadku?

I wyciągając lewą rączkę, w której trzymała suszne owoce, zapraszała na nie dziadka z zakłopotanym uśmiechem

— Aha, dla tego to nie mogła sama sobie drzwi otworzyć! — domyślił się wyminkarz, głośno zaś zagadnął:

— Skądże to masz, Dorciu?

Dziewczynka spuściła oczy.

— Wzięłam je dla was — odparła wkońcu rezolutnie. - Mamusia przyniosła suszone owoce ze strychu, aby je ugotować na wieczerzę.

Kluczka teraz się domyślił znowu, że dziecko wzięło tę garstkę owoców bez wiedzy matki, ale nie miał serca strofować za to swej pieszczotki. Wszak wzięła nie dla siebie. »Dla was« — tłumaczyła się szczerze, gdy oczy jej szukały po podłodze odpowiedzi.

Wyminkarzowi zatrzęsła się nagle broda, a do oczu nabiegły łzy. To oto dziecko jest jedynem na świecie stworzeniem, które go jeszcze

*) Wyminkarz — od wyrazu wyminek czyli inaczej dożywocie.

kocha. Reszta rodziny patrzy nań, jak na zawalidrogę i wszyscy go krzywdzą, wszyscy bez wyjątku — synowa, syn i starsze ich dzieci: Franek i Karylek, jedna tylko Dorotka czuwa nad nim, niby anioł opiekuńczy. Onegdaj, gdy prosił o drzewo na opał, którego przez zapomnienie nie zapewnił sobie w wyminku, dała mu synowa temi słowy odprawę: »Wszak nalewacie się jak beczka gorzałką, więc powinno wam być ciepło.»

A on przecie wypijał jej zaledwie za dwa grosze dziennie, i naprawdę potrzebną mu była, jak lekarstwo. To też nim oddał jedynemu synowi cały swój majątek, składający się z chałupy, winnicy i trzydziestu morgów pola, ustąpił na budowę miejscowemu szynkarzowi kawałek ugoru pod warunkiem, że ten mu będzie dawał codziennie aż do śmierci za dwa grosze żytniówki i za grosz tytoniu. Dogodną była dlań taka umowa w późnej starości, gdyż nie byłby się nigdy doczekał pieniężnego datku od syna, ale wzamian ileż z tego powodu nacierpiał się drwin i przycinków, jak gdyby nie miał był prawa rozporządzić się owym kawałkiem ugoru, jak mu się podobało. Nadaremnie prosząc onegdaj o nieszczęsny ów opał, tłumaczył się przed synową, rozgniewana kobieta rzekła mu jeszcze w końcu:

— Objadacie nas, aż wstyd!

— Wstyd kraść, mamo, a dziadek nie kradnie — odezwał się nagle głosik Dorotki, która z przerażeniem patrząc na tę scenę, próbowała bronić dziadka mądrą sentencją, słyszaną niejednokrotnie z ust starszych osób. Ale gospodyni, skarciwszy czynnie dziewczynkę za śmiałe odezwanie się, nie zaprzestała kłótni z teściem.

Od tej chwili stary przestał pokazywać się w izbie, a nazajutrz nie przyjął wiązki chrustu, którą mu przyniósł Karylek. Ten ostatni również nie szanował dziadka — obaj chłopcy naśladowali bowiem w postępowaniu z nim gorszący przykład rodziców. Stary Kluczka czuł żal do niewdzięcznych dzieci, ale milczał i tylko w głębi ducha, lub podczas modlitwy skarżył się na swoje sieroctwo, na nieszczęśliwy los. Dorotkę jedynie witał zawsze z całą miłością. Nawet wczoraj gdy przyszła do niego z żądaniem od rodziców, aby pożyczył zegara, wyminkarz, jakkolwiek wiedział, że oglądać go nie będzie już nigdy, pozbawił się bez słowa skargi, jedynego przyjemnego dźwięku, który mu umilał samotność, ponieważ to Dorotka o to prosiła. I hak nawet wyciągnął ze ściany i podał dziewczynce, aby wiedzieli, że zwrotu zegara nie żąda.

— Dla czego łzy wam płyną z oczu, dziaduniu? — zawołała żałośnie dziewczynka, która patrzyła bacznie na staruszka przez cały czas jego rozmyślań.

Wyminkarz oprzytomniał, przesunął dłonią po czole i oczach, i podniósł łyżkę polewki do ust.

— Nic to, nic, moje jagniątko — zaczął — ot tak, smutne myśli przyszły mi do głowy... A za te gruszki dziękuję ci serdecznie, ale musisz przynajmniej połowę z nich sobie zatrzymać, bo nawet — mówiąc między nami — lepsze niż ja, masz do nich ząbki.

C. d. n.

Przegląd pism.

»Bibljoteka Warszawska«. — Maj. — 1894.

P. Kazimierz Morawski dał w majowym zeszycie omawianego pisma zajmujące studjum, p. t. »Petronius Arbiter«; romans w starożytności, w którem zaznajamia czytelnika z jedynym, jaki nas w ułamkach doszedł, romansem łacińskim Petronius'a, odnalezionym jeszcze w XVII. w. w Trau, a Dalmacji. Powstanie tego zabytku piśmiennictwa łacińskiego odnosi p. Morawski do czasów Nerona.

Dr. Nusbaum w artykule p. t. »Dziedziczność w świetle badań dzisiejszych«, w przystępny a zarazem ściśle naukowy sposób przedstawił w historycznym porządku teorje dziedziczności, wykazując, jakiemi drogami umysł ludzki kroczył w celu wyjaśnienia i wytłumaczenia skomplikowanych zjawisk tej nader ważnej i zajmującej dziedziny biologji.

O »Folklorze i jego obecnych zadaniach« przez p. R. Zawilińskiego. Sięgając wstecz do czasów rozprawy Mickiewicza »O klasyczności i romantyczności« i Brodzińskiego, przebiega autor historycznie polskie prace, dotyczące tej nowej a coraz to więcej miłośników znajdującej umiejętności, kończąc na wzmiance o rzeczach najnowszych, jak Świętka »Lud Nadrabski«, Wydawnictwach komisji antropologicznej Akademji Umiejętności i »Wiśle« oraz »Bibljotece Wisły«.

Rzecz naturalna, iż w swym przeglądzie prac z dziedziny folklorystyki, nie rości sobie p. Zawiliński pretensji do bibljograficznej ścisłości i wyczerpania przedmiotu. Przeciwnie, przechodząc do kwestji obecnych zadań folkloru, przedewszystkiem zaznacza autor potrzebę szczegółowej bibljografji tej gałęzi piśmiennictwa naszego. Obok tego pożądana jest bardzo mapa, dająca przegląd naszego obszaru etnograficznego i terytorjalny obraz dotychczasowych badań (myśli poruszone w »Wiśle«). Dalej — zdaniem autora, i słusznie — palącą staje się potrzeba Towarzystwa ludoznawczego. Nakoniec, ważnem niezmiernie jest krytyczne opracowanie zebranego już materjału, które między innemi, da możność zdania sobie sprawy z tego, co już zrobiono, a co jeszcze dla równomiernego opracowania wszystkich działów do zrobienia pozostaje.

Dalszy ciąg »Połanieckich« Sienkiewicza, dokończenie studjum S. Kozłowskiego o Konopnickiej, kroniki: paryska i miesięczna, oraz zwykłe działy sprawozdawcze i bibljograficzne, złożyły się na resztę kart omawianego zeszytu.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.